

Kowalski, Jan / Wawrzyński, Kazimierz

Listy Jana Kowalskiego i Kazimierza Wawrzyńskiego do Zygmunta Gołębiowskiego.

Bieżuńskie Zeszyty Historyczne 10, 101-107

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Listy Jana Kowalskiego i Kazimierza Wawrzyńskiego
do Zygmunta Gołębiewskiego

1.

Dzwińsk dnia 5.03.1920 r.

Kochany Zygmuncie!

Kilka dni temu dostałem list od p. Maryśki, z którego dowiedziałem się, że wróciłeś na swoje dawne leże. Ponieważ był to pierwszy list, więc jasnym jest, że dopiero teraz piszę. Do p. Maryśki pisałem też dość późno, bo w połowie lutego, a to dlatego, że jak pierwiej, tak i teraz wiodłem życie koczownicze bez stałego miejsca pobytu. Obecnie adres mój się ustalił i siedzę w Dzwińsku, co zdaje się potrwa przynajmniej kilka tygodni. Opiszę Ci więc wszystko po kolei. W Płocku byłem do 4 stycznia, z Warszawy do Wilna wyjechałem 5 stycznia rano, a w drodze z Wilna do Dzwińska wsiąłem w szpitaliku Nowo-Święczańskim, a to dlatego, że pomimo matczynej kuracji w Płocku byłem jeszcze przeziębiony no i zmęczony a w szpitaliku dobre jadło ciepło i t.p. przyjemności, jechać więc wołowym pociągiem przy siarczystym mrozie nie chciało mi się. Po kilku dniach doszedłem do przekonania, że takie łązikowanie może się smutno skończyć i zrobiłem ab-fahrt do Dzwińska, gdzie zameldowałem się Szefowi Sanitarnemu dopiero 10 stycznia. Ale major Hubicki porządny chłop żadnych wstrętów mi nie czynił i przydzielił do szpitala polowego 101 (.....?). Tu znalazłem się na oddziale zakaźnym i ponieważ nie miałem chęci bawić się w doktora, więc tę przyjemność zostawiłem podchorążemu koleżance z Krakowa z 8 czy 9 semestru, a sam zrobiłem się organizatorem, administratorem, komendantem i w ogóle ważną figurą na tym oddziale. Roboty było huk, a materiałów wcale, ani łóżek, ani prześcieradeł, ani sienników, ani bielizny, a nawet co gorsza miejsca zaczynało brakować, bo tyfuśników przybywało ze 2 mendle dziennie. Wreszcie gdy już zaczynało się porządkować oddział, gdy przydzielono lekarza, a potem lekarkę pozostałą w spadku po bolszewikach w miejscowym szpitalu, który myśmy zajęli, a ja miałem nadzieję, że zostanę w szpitalu, trach rozkaz – podch. Kowalski pojedzie z 4 sanitariuszami i kuchnią polową do stacji kolejowej Raszony(?) (40 wiorst od Dzwińska) i zrobi tam punkt zborny dla chorych i rannych przybywających z frontu do (.....?). Cyk! jadę. Po przyjeździe urządziłem się wcale niezgorzej i nagle w 2 dni potym podchorąży Kowalski pojedzie bliżej pod front i obejmie w miasteczku Dagda zwanym punkt opatrunkowy. Zwinąłem więc swój świeżo założony (.....?) i jazda przy 35° mrozie do Dagdy. Tam trafiłem na swój stary oddział I Bryg. Leg. którą teraz dowodzi ppułk Olszyna-Wilczyński – morowy chłop. Punkt odebrałem od pewnego podpor. podk. i stałem się komendantem małego szpitalika, dawnego szpitalika miejscowego. Inna sprawa, że w tym szpitaliku łóżek nie było

i chorzy i ranni, którzy przez mój punkt z pozycji do stacji kol. przechodzili, leżeli na słomie na ziemi. Pierwszą więc rzeczą było zrobienie prycz. Tu wsadzono mi do pomocy 3 legunki(?), z których 2 zajmowały się chorymi, a jedną najmorowszą Bronkę wzięłem do swojej kancelarii. Cały więc prawie dzień przesiadziałem w ambulatorjum z tymi 3 amazonkami przyjmując i wysyłając chorych, a w chwilach wolnych migdałać się do swych dziewczyc. Skoro tylko Brygada wróciła do Dzwińska to ja też powróciłem do szpitala 101. i po dwu dniach zrobili mnie pomocnikiem komendanta kursów dla podoficerów sanitarnych, które trzeba było zarządzić mając do dyspozycji tylko pusty lokal. Zaczęła się więc dla mnie bieganina po intendenturach, urzędach gospodarczych, kwaterunkowo-budowlanych i wreszcie onegdaj, było otwarcie, na którym był generał Rydz-Śmigły. Zwykła by się rozpoczęła służba jak w koszarach warty, czytania rozkazów, przepustki.....

(brak dalszego ciągu)

2.

Dynaburg dn. 9.04.1920 r.

Kochany Zygmusiu!

List Twój przyszedł jeszcze przed Świątami ale zaraz nie odpisałem, bo byłem zajęty różnymi sprawami związanymi z moim urzędowaniem. A więc przedewszystkim likwidacją kursów dla podof. sanit. i szykowaniem się do podróży z I oby 1 p.a.c. gdzie miałem być początkowo przydzielony. Prawdziwy komendant kursów i lekarz 1 p.a.c., którego ja w obu funkcjach podczas choroby zastępowałem, umarł na tyfus plamisty. Szkoda go, bo był morowy chłop i pracując z nim razem zdążyłem go polubić. Kursy o których Ci piszę oddane zostały pod moją komendę i ja zacząłem się bawić w wojsko. Więc co dzień czytanie rozkazu, zmiana służby i warty, raporty karne, przepustki na miasto dla słuchaczy i inne bieżące sprawy załatwiała się. Porządeczek był znośny, przynajmniej wtedy kiedy ja tam byłem, bo mieszkalem i mieszkam w pobliżu naszego szpitala, w którym podczas trwania kursów jadałem i brałem żołd. Słuchaczy było stu, wszyscy wyszli z szarżą o stopień wyższą: był więc nawet jeden sierżant, 8 plutonowych, jeszcze więcej kaprali a reszta dostała starszych szeregowców. Wykładający w liczbie 4-ech lekarzy tworzyli komisję egzaminacyjną, każdy słuchacz otrzymał świadectwo z wynikiem egzaminu. Na kursach nieźle się czułem, bo choć nie byłem zbyt surowy, jednak szanowano mnie i lubiano, co dali chłopcy wyraz temu przy zakończeniu kursów, kiedy w rozkazy pożegnalnym życzyłem im wesołych świąt, bo wyjeżdżali na urlop. Wykrzykiwali wtedy „niech żyje podchorąży”. W ogóle kursy zakończyły się przyzwyczajeniem bo sam Szef sanitarny 1-ej Dyw. Leg. major Hubicki (złoty chłop) rozdawał słuchaczom świadectwa i ścisnął im graby. Tylko jedna rzecz niezbyt przyjemna, że na ostatku „wsiaknięto” gdzieś kilka koców i prześcieradeł, które wyfasowałem dla kursów. Ale „bulić” za to zdaje się nie będę. Ponieważ

byłem jednocześnie lekarzem 1 Dyonu 1 pacu, oczywiście w zastępstwie, więc postanowiono mnie tamże na stałe przydzielić, wprawdzie nie 1 dyonu lecz 2-go. Przydział do artylerji jest wogóle dobry, ale ja chciałem zostać przy szpitalu i w kancelarji Szefa san. wyrażałem nieraz te swoje chęci, więc ostatecznie po ciągłych zmianach w dysponowaniu moją osobą, zostałem w szpitalu i od 2 dni pracuję na oddziale wewnętrznym, pod kierunkiem pani doktora Cygiel-Strajchowej, udzielającej mi swoich światłych wskazówek. Dzisiaj czytam przy kolacji w menaży rozkaz, że jestem przydzielony do II dyonu 1 p.a.c. na miejsce pewnego żydka podchorążego medyka odchodzącego do Warszawy. Szlag mnie trafia, bom miał zamiar nauczyć się czegoś, a tu człeka pędzą, zresztą przy szpitalu wcale dobrze. Jutro idę do Szefa i pytam Siwińskiego, czy to rzeczywiście jest prawdą, czy też może to być jeden z licznych projektów, co ze mną zrobić, który trochę spóźnił się w rozkazy Dywizjo. My wychodzimy w najbliższych dniach z Dzwińska i jedziemy narazie podobno do Baranowicz. Pisz do szpitala, poproszę by w razie odesłania mnie do 1 pacu listy tam kierowano. Jak święta spędziłeś, bo ja to wesoło, byłem wiele razy pijany, (ale nie jechałem do blizkiej od nas Rygi), tańczyłem, flirtowałem. Tu w szpitalu jest aż ośmiu podchorążych, oczywiście nie wszyscy medycy, tych tylko 2. Wesoła kompanja lubiąca wypić i zabawić się. Do jednego z nich poborowca (były szwoleżer) przyjechała na święta jego żona, inteligientna i morowa kobita z siedemnastoletnią Zosią, ładniutkim dziewczątkiem. Z nimi to i jeszcze z dwiema morowszemi siostrami z naszego szpitala podchorągiewniki nasze wesoło spędzali święta no i ja między nimi. Kobiet jest tu trochę, tylko nie chce mi się długo chodzić i starać się o wzruszenia miłosne, chciałbym wiele nie fatygować się, a nie zawsze da się tak odrazu cel osiągnąć. Dlatego też żyję w celibacie choć mi cnota już za bardzo doskwiera. Zresztą u nas tzw „gonokokki latają w powietrzu” a grono muzykalnych wzrasta w bardzo szybkim tempie. Za to często (no znów nie tak bardzo) grywam w chemi de faire. Wiesz z początku karta mi trochę szła bo wygrałem 500 marek. A teraz „dają mi podchorągiewniki szkołę” i wsadziłem niedawno przed świętami w ten brzydki interes 1000 marek, a wczoraj znów 800. Ładnie oszczędzam monetę na urlop, co jak myślisz, zdaje mi się jednak, że trochę odejdzie mi teraz apetyt na szmęda. Hm! Trzeba lepiej wziąć się do tego delikatnego interesu, w którym ty pracujesz, może i ja zarobię jaki złoty gierszonek(?). Czy wiesz, że ja się nic nie uczę, co to będzie kiedy ja zdam te 2 przedmioty? możliwe, że dopiero w lipcu. Co tam słyhać z nominacją Twoją, ja zostałem już podany na podpora, tylko że metryki nie doręczyłem, więc może będą robić „wstręty” jakie? Wiesz dziadku z wielką przyjemnością ujrzałem Twoją epistołę i Kazika (dopiero wczoraj) więc napisz i atramentu nie żałuj i rób mi możliwie najczęściej takie przyjemności.

A teraz „cyk” daj pyska Janowi.

M.p. dn. 5.05.1920 r.

Kochany dziadku!

Od miesiąca prawie jestem w podróży, tak że nie miałem nawet czasu posłać Ci życzenia imieninowe. Wiesz przecie dobrze, że nie chcę by Cię szlag trafił, więc zapewnienia tego przecie nie potrzebujesz. Żałuję jednak, że list mój nie przyszedł do Ciebie na Twoje imieniny. Teraz napiszę Ci w skróceniu jakie perypetje przechodziłem w podróży. Przedewszystkiem Dzwińsk słynny ze swych śleddzi, które dobrze i długo będzie pamiętać nasza wiara, opuściłem wraz ze Szpitalem 16 kwietnia i jadąc wzdłuż frontu dojechałem do tego Równego czyli Równa. Stąd do Zwiahla a potem nasza dywizja do spółki z innymi oddziałami zrobiła angrif na bolszewików i bijąc ich srodze dotarła do Żytomierza. Ze Zwiahla gdzie szpital został, wyjechałem z czołówką która postępowała tuż za oddziałami i zaraz za piechotą wjechaliśmy do Żytomierza. Zdobycz była nadzwyczajna. Całe transporty na stacji naładowane owszem, zbożem, cukrem, tytoniem, skórą i t.p. wszystko dostało się w nasze ręce, nie mówiąc już o zdobyczach ściśle wojskowych, jak działa „maszynki” automobile. Potem zjechał do Żytomierza nasz szpital. W Żytomierzu zabawiliśmy parę dni, wyjeżdżałem stamtąd automobilem po rannych na pozycje jakieś 60 wiorst. Żytomierz klawe miasteczko, żytomierzanki też niczego aleśmy długo tam nie siedzieli, bo w tej chwili szpital znajduje się już za Żytomierzem koło 60 wiorst, w odległości 80 wiorst od Kijowa. Jesteśmy więc mniej więcej w tych samych stronach, i chciałbym byśmy się spiknęli może to nastąpi w Kijowie na Kreszczatiku. Tymczasem szpital próżnuje, ja jutro lub może dziś jeszcze jadę wozami na czołówkę, bo szykuje się ofenzywę na Kijów. Muszę Ci jeszcze napisać, że nic absolutnie nie uczę się, a natomiast trudnię się kartografstwem co kosztuje mnie już koło 3000 marek, ale człek liczy na tego przyszłego podporucznika i bałagani się, a chemja i fizjologia śpią.

Całuję Cię siarczyście

Jan

Płock, dn. 12.03.1920 r.

Kochany Zygmuncie!

I znowu otrzymałem od Ciebie naraz aż dwa listy, ale ze strasznym opóźnieniem, bo jeden ma datę 13.02, a drugi 27.02, oba zaś wręczono mi 7 marca. W pierwszym żądarz ode mnie długich listów, chociażby zapełnionych głupstwami (o co innego byłoby trudno). I tego procederu dla Twej miłości sprobuję. Na

zadatek dowiedz się, że brat Bolka Mierzeja (młodszy) wstąpił w związki małżeńskie z Wiśką Gundlachówną i jak złośliwi utrzymują w kilka dni po ślubie (który dał młodej parze pastor—ojciec Gundlach) opatrność dała im syna. Tu wiadomości moje się wyczerpały, przechodzę więc do odpowiedzi na drugi Twój list. Otóż sprawiłeś mi ogromną przyjemność, pamiętając o moich imieninach, bo chociaż w zasadzie pachnie to myszką i wiele mądrych rzeczy dałoby się powiedzieć o tym szanownym zabytku świetnej przeszłości, to jednak w gruncie rzeczy cieszy człowieka niezmiernie, że jakaś bratnia dusza, pokutująca gdzieś tam na rubieżach Rzpłtej, pamięta o takich drobiazgach. Przekonałeś mnie, że jest Ci tam bardzo dobrze, chociaż podejrzanym mogłoby się wydać (niedowiarkowi), że czynisz to w taki sposób, jakbyś sam siebie chciał przekonać o słuszności Twoich wywodów. Zakończenie listu było jaskrawym przeciwieństwem do początku, ale i na to zgodzić się muszę, że rzadziej będziesz do mnie pisywał, gdyż tego chcą konieczności wojenne (w ostatnich czasach bardzo modne), chociaż znam wypadki oparte na tej samej podstawie, które jednakże są zupełnie czym innym, np. mego naczelnika wyrzucili z mieszkania niby również z tych względów, a wcale chodziło o co innego, jak zwykle zaspokojenie osobistego widzimisię. Chciałeś, żebym głupstwa pisał, to je masz. Widzę, że zrobiłem Ci zarzut, w który sam nie wierzę i nie wiem właściwie o co mi chodziło. Samo pióro lata i robi figle. Wiem, że nie stracisz żadnej sposobności, żeby mi nie przesłać garści wiadomości o sobie. Ale, ale, mam dla Ciebie nowinę: Janek się znalazł. Prawie równocześnie z Twoimi dostałem i od niego list. Biedaczysko skarży się, że nie wiedział gdzie jest i dlatego nie mógł napisać listu. Pyta się o Ciebie, więc pošlę mu Twój adres, chociaż Maryna pewno to już zrobiła. Przyjeżdża ona do Płocka jutro, albo w niedzielę, więc będzie mi weselej. Adres na kopercie Jan tak wyszytyłował: J. Kowalski pchor. Szpital pol. 101.1—ej Dyw. Leg. Poczta Polowa 27.

No na ten list chyba już nie będziesz mruczał, a więc daj pyska

Kazik

5.

Płock, dn. 21.04.1920 r.

Kochany Zygmuncie!

Przepraszam Cię za przerwę w korespondencji naszej, ale temu winny najprzód święta, a później mój wstręt do pisania listów, no i brak czasu. Na święta zbiegła się cała moja famuła, a więc Przeradz z flakonami i moim ojcem, który po sprzedaniu chałupy stale tam przebywa, dalej Sanniki, t.j. Jasia z mężem, no i Marysia z Warszawy. Czas leciał gorączkowo i nie obejrzałem się, gdy znów pozostała dawna pustka. Na dobitkę Hala pojechała na pewien czas do Sannik, a Marysia do Warszawy. Dziś otrzymałem od Marysi krótką notatkę, z której wynika, że

istnieje możliwość ponownego zamknięcia przez młodzież Uniwersytetu Warszawskiego, a przyczyną tego jest fakt, że wszystkich akademików—oficerów urlopowanych powołano znów do służby, a rozciągnąć ma się również do wszystkich innych studentów. Krążą wieści, że gdyby tak było, to młodzież, nie chcąc zostawić na Uniwerku bab i żydów, uchwalili zamknięcie budy. Ciekawym, co w takim wypadku działoby się na uniwersytetach: krakowskim, lwowskim, wileńskim i poznańskim. Ale mimo wysiłków myślowych nic nie mogę zrozumieć, widać człowiek tępieje w tej sakramenckiej żegludze. Po dowiedzeniu się czegokolwiek nowego w tej ważnej pod każdym względem sprawie nie omieszkam Cię zaraz poinformować. A teraz po tak czysto fachowym wstępie przystępuję do części głównej, a właściwie do istoty rzeczy, ponieważ mądrze wykoncypowałem, że zanim papier ten dojdzie do Ciebie na pewno będzie już 2 maj, rocznica Twoich imienin, dzień w którym już od 23 lat, wszyscy co Cię znają i kochają, starają się dać wyraz swoim uczuciom w stosunku do Ciebie. Do grona tego zaliczam również swoją mizerną osobę i z tego tytułu ślę Ci głębokie życzenia zadowolenia z samego siebie, a właściwie ze swoich czynów, gdyż znając Twoje zasady moralne, wiem, że nic mądrzejszego życzyć bym Ci nie mógł. Krótkie te życzenia, choć zawierające sporą treść, muszą Cię zadowolić, bo odległość nie pozwala na to, żebyśmy mogli ukoronować swoje uczucia porządną wstawą w jakiejś 5-go rzędu knajpie. Napisz mi, kiedy zostaniesz podporucznikiem, to znów miałbym okazję do złożenia Ci życzeń. To coś pisał á conto Jana pono jest prawdą: panna Ola ma wyjść do, przepraszam za p. Kozielskiego, naszego dawnego nauczyciela, który zapowiada się być całkiem niczego siłą prawniczą. Po przeczytaniu tego listu nie wpadnij przypadkiem w zły humor, bo po otrzymaniu ostatnich trzech Twoich listów, bynajmniej nie mam zamiaru poprzestać na jednym, bądź więc dobrej myśli, a tymczasem daj buzi.

Kazik

6.

Płock dn. 3 maja 1920 r.

Kochany Wojaku!

Na wstępie ośmielam się przypomnieć Ci, że jutro już będzie akurat miesięczka, czy miesięcznica spłodzenia przez Ciebie ostatniego listu do mnie, a wniosek z tego jasny: pisz! Dziś obchodzimy tu w Płocku uroczyste dzień 3-go maja. Rano nabożeństwo we wszystkich kościołach dla różnych branży, jako to: szkoły średnie, szkoły początkowe, ochronki, wojsko itp. Przed 10-tą uroczyste nabożeństwo w katedrze: nawa główna tylko dla delegacji ze sztandarami, których cały las lśni różnymi kolorami tęczy. Przed katedrą i na rynku Kanonicznym zbierają się oddziały urzędowych uczestników pochodu. Znać silną organizację, bo porządek panuje wzorowy. Pochód rusza, ale kto go stanowi wymienić nie mogę gdyż kilka-

dziesiąt grup musiałbym z imienia nazwać, a to zajęłoby cały list i niczego więcej byś się nie mógł dowiedzieć. Powiem tylko, że poczynając od katedry, zajęte były ulica Tamka i Więzienna do poczty, żeby pomieścić ten długi sznur wielbicieli 3-go maja. Procesja kościelna udziału w pochodzie nie brała, a kler w zwykłych sutannach szóstkami posuwał się zwolna jak każda inna grupa. Z Więziennej skręcono na dominikańską i zatrzymano się dopiero na placu przed kościołem garnizonowym (dawna cerkiew). Tu wygłoszono kilka mów, których nie słyszałem. O Jednym tylko panu pośle Mierzejewskim wiem, że mówił o popieraniu pożyczki państwowej, a to dzięki dobroci jego organu głosowego (słyszałem). Ale nie wszyscy widocznie byli tego zdania, co p. poseł, bo jakiś chłop stojący obok mnie powiedział: „wszystkie wiwaj, wszystko niech żyje, ale pożyczka precz!” Pociesz się, że takich jest, a właściwie słyszałem bardzo mało. Na ogół okrzyki wnoszono z zapalem, a już okrzyk na cześć armij przyjęty był entuzjastycznie i długo był powtarzany i orkiestra kilka razy odegrać musiała hymn narodowy, a biedne żołnierska powtarzać prezentowanie broni, co im chyba nie bardzo się uśmiechało, gdyż upał był nie najgorszy. Prócz opisanych uroczystości mamy dwudniowy zlot skautów z całego okręgu, a więc są drużyny i z Rypina i z Sierpca i z Włocławka et. et. Życie wre aż miło. O Uniwerku nic nowego jeszcze nie wiem. Jan w ostatnim liście z dn. 11 maja mianuje się ordynatorem młodszym na oddziale wewnętrznym i zapowiada rychły wyjazd razem ze szpitalem z Dzwińska do Baranowicz, a w końcu dodaje, że mu jest wesoło i egzaminy będzie kończył może na następnym urlopie w lipcu. Dobry numer! Ponieważ trzeci już list wysyłam, nie czekając na odpowiedź, przeto zmieniam taktykę i dopóty będę milczał, dopóki nie dostanę od Ciebie epistoły łokciowej.

Bywaj zdrów

Kazik

Przypisy

1. Tekst opracowany na podstawie rękopisów znajdujących się w Muzeum Małego Miasta w Bieżuniu.
2. Rawa Ruska – miasto obecnie tuż za granicą polsko-ukraińską na linii Bełzec–Lwów. Stary Konstantynów (obecnie Starokonstantynów) n. Słuczem – miasto na Ukrainie w połowie drogi Lwów–Kijów.
3. Lipno – miasto na Ukrainie w połowie odległości między Żytomierzem a Płoskirowem (obecnie Chmielnicki).
4. Kazik Wawrzyński z Przeradza.
5. Jutkiem lub Julkiem nazywano w rodzinie Józefa Gołębiowskiego, najmłodszego brata (ur. 1908 r.).
6. Janek Kowalski – serdeczny kolega Zygmunta Gołębiowskiego, również medyk.